



Małgorzata Kobylak

* * *

– Jeszcze jedno. Na imię mam Cynth.

I dusza opuściła bezwładne ciało, a zimny blask rozświetlił niebieskie oczy. Kiedyś ich czysta barwa wywoływała zachwyt, teraz głęboki błękit budził tylko grozę i strach.

Cynth spokojnie czyścił srebrzysty sztylet. Piękne usta wygięły się w okrutnym półuśmiechu. Gorąca krew ściekała po eleganckim ostrzu, plamiąc szklane płyty jednej z tysięcy zadbanych uliczek miasta. Rękawy szarej bluzy nasiąkały gęstą, brunatną cieczą. Unurzana we krwi dłoń o długich palcach odgarnęła nadmiar ognistych włosów, odsłaniając subtelny zarys spiczastego ucha.

Mordercą był elf.

Wigilia tegorocznych Dni Zielonej Góry miała być najważniejszym wydarzeniem jesieni. I była.

Wczesnojesienna noc tonęła w pomarańczowej poświacie tysięcy lampionów. Greckie maski uśmiechały się z każdego okna, łańcuchy winorośli oplatały przyćmione latarnie, a tony sztucznych winogron zmieniły tunele i bramy w przedsiionki alkoholowego

upojenia. Echo śpiewów, wyć, chichotów i zawodzenia zawisło nad opuszczonymi winnicami, czyniąc z nich główne ośrodki zabaw i psot.

Cynth stał na środku głównego skrzyżowania. Greccy bogowie, nimfy, duchy, ghule, szkielety. Żywe trupy, wampiry, mumie, kosmici, leśne potwory, bohaterowie legend. Korowody przebierańców omijały go niczym spienione fale górskiego potoku napotykające przeszkodę w formie skalistej wysepki lub bystrza. Nie wszyscy pozostali obojętni.

– Co za tandetny strój, popaprańcu!

Zalany mężczyzna w przebraniu kata uwiesił się ramienia elfa, bełkocząc niewyraźnie między łykami taniej gorzały. Cynth skrzywił się z obrzydzeniem, gdy cuchnący oddech pijaczyny ogrzał mu twarz.

– Elfy to śmieci... – Mężczyzna zakrztusił się powietrzem. – Bezwartościowe... tchórze i diabelski pomiot, choć trzeba przyznać, że... – tu zachichotał – ich dziwki wiedzą, jak dogodzić człowiekowi.

Cynth zacisnął zęby i wyswobodził się z objęć zapijaczonego kata.

– Nie wiesz, co straciłeś... mam rację? – Mężczyzna zachwiał się, ale nie upadł. Pociągnąwszy łyk z butelki, kontynuował swój monolog. Nieświadomy niebezpieczeństwa, zatrzymał odchodzącego Cyntha, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Bracie...

To był jego pierwszy błąd.

Sekundę później dosłownie tonął w zimnym błękiecie tęczówek.

– Ach! – Uśmiechnął się pogardliwie, zionąc alkoholem. – Elf...

To był jego drugi i ostatni błąd.

Pod wpływem bezwzględnej spojrzenia wytrzeźwiał natychmiast, lecz zbyt późno, by zrozumieć, że malująca się na twarzy elfa obojętność była tylko maską.

Cynth strzepnął z ramienia okruszyny szkła.

Jakieś dziecko zauważyło zaplamione krwią rękawy, ale elf przyłożył wyprostowany palec wskazujący do ust i mrugnął porozumiewawczo. Zauroczone jego pięknem chłopiec natychmiast zapomniał o brunatnych plamach i z otwartymi ustami odprowadził nieznanego wzrokiem.

Wrzask przerażonej kobiety przebił się przez uliczny gwar. Aura śmierci zawisła nad miastem. Subtelna i delikatna niczym niegdyśiejsza mgła nad rozległymi przestrzeniami wrzosowisk, niezauważenie wmixszała się w codzienny tryb życia. Gwałtowna i brutalna,

nie wywarła najmniejszego wrażenia na ludziach obcujących z nią na co dzień. Tylko nieliczna grupka wrażliwych odważyła się zadrzeć, by uspokoić wstrząśnięte serca.

Elf dołączył do barwnego korowodu przebierańców i spokojnie oddalił się od głównego skrzyżowania. Kilka osób zwróciło uwagę na jego niezwykle wygląd, ale powstrzymało się od komentarzy i głośnego wyrażania swoich opinii na temat niefortunnie dobranego kostiumu.

Elfy, jako istoty słabe, delikatne i, co najważniejsze, nieśmiertelne, skierowały losy świata na zupełnie inne tory. Przedstawiciele nieznanego gatunku pojawili się na Ziemi siedemdziesiąt lat po zakończeniu wojny atomowej, która wybuchła w połowie dwudziestego pierwszego stulecia. Uprzedzeni do odmieńców mieszkańcy pojedynczych miast skazali przybyszów na wyniszczającą roślinność na terenach skażonych. Całe rody wątłych istot koczowały na starych wyspi-skach lub w opuszczonych kopalniach głęboko pod ziemią.

Do czasu eskalacji następnego atomowego konfliktu.

Porucznik Bystrzycki zgasił ekologicznego papierosa i obserwował, jak wąska strużka pary wodnej leniwie rozplywa się w powietrzu. Kiedyś uważał palenie za zabawę, teraz zaciąganie się parą wodną stało się po prostu trudnym do zwalczenia nawykiem. Kilka razy postanawiał odstawić elektroniczne чудо, ale na słowach się kończyło. Jeśli chodziło o papierosy, Bystrzycki nie mógł lub podświadomie nie chciał wykrzesać z siebie wystarczającej ilości silnej woli, by wprowadzić w życie utopijny plan.

– Kobalt, mamy problem.

Wiktor Jasieniec przekrzyczał muzykę i gwar roześmianego tłumu i podsunął partnerowi swój służbowy komputer – kieszonkowy sztywny ekran dotykowy z trójwymiarowym wyświetlaczem grubości przeciętnego wafła. Nie doczekawszy się reakcji, podążył za nieobecny spojrzaniem intensywnie granatowych oczu porucznika.

– Niech to szlag.

Po przeczytaniu danych zidentyfikowanego przez system mężczyzny, Bystrzycki z rosnącą irytacją zerknął na odgradzoną połącz pomostu spacerowego. W samym środku wydzielonej wysepki, w kałuży zasychającej krwi, leżało pokaleczone ciało Szymona Franciszka Zatorskiego, wzorowego męża i ojca trójki dorastających dzieci, przykładnego obywatela i asystenta zastępcy burmistrza. Spod białego syntetycznego materiału osłaniającego zwłoki sterczała ręka groteskowo zaciśnięta na szyjce potłuczonej butelki miejscowego wina.

Dwaj mężczyźni wyłonili się z tłumu i cicho przemknęli pod jaskrawożółtą taśmą i stanęli oko w oko z policjantem postury olbrzyma, pilnującym porządku w strefie miejsca zbrodni.

– Spokojnie, to tylko my!

Machnęli mu przed nosem kartami identyfikacyjnymi, podeszli do okrytego białą płachtą trupa i bez czyjegokolwiek pozwolenia odsłoniли górną połowę ciała nieboszczka.

– Cholera jasna! – zakłęli jednocześnie, odwracając głowy.

Obserwujący ich Bystrzycki i Jasieniec wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Pracowali ze sobą tak długo, że komunikacja werbalna stała się zbyteczna.

– Kobalt, Jasieniec, wy już tutaj? – Andrzej Koske okrążył uwijających się przy trupie techników śledczych i podszedł do stojących na uboczu funkcjonariuszy.

– Byliśmy niedaleko – wyjaśnił Jasieniec, wymieniając uściski dłoni z nowoprzybyłymi policjantami.

– Nieźle gówno – podsumował sprawę Wichrzycki, utkwivszy wzrok w białym pokrowcu ochronnym.

– Nie przeczę. – Bystrzycki wręczył Koske komputer z danymi personalnymi ofiary i obserwował jego reakcję. – Nie mogliście trafić lepiej.

Wichrzycki zagwizdał.

– Zapowiada się śledztwo na pierwszą stronę? – Spytał, po czym, zerkając Koske przez ramię, syknął niezadowolony. – Kurwa, cholera jasna, niech to szlag!

– Naciski z góry gratis. – Jasieniec uśmiechnął się ponuro, ciesząc się w duchu, że to nie im przydzielono zabójstwo pracownika ratusza.

Jednostajny sygnał słuchawkowego systemu telefonicznego przewalał ponurą ciszę. Bystrzycki odsłuchiwał wiadomość.

– Naruszenie strefy chronionej – oznajmił beznamiętnie. – Czerwony alarm.

– Bierzemy to – zdecydował Jasieniec.

Od wyniszczzonego świata Zieloną Górę odgradzał ogromny klosz przypominający dawne kuliste akwaria. Wyposażona w aparaturę samoczyszczającą powietrze, wykonana z grubego ołowianego szkła nieprzezroczysta bańka chroniła sterylnie czyste wnętrze przed działaniem szkodliwego promieniowania. Sieć wentylacyjna zapewniała optymalną cyrkulację powietrza, system termiczny umożliwiał re-

gulowanie temperatury. Kopuła służyła też jako ekran. W zależności od zachcianek operatorów systemu, na jej powierzchni wyświetlano rozgwieżdżone niebo, bajecznie kolorowy wschód słońca lub grubą warstwę deszczowych chmur. Co najmniej raz dziennie włączano zraszacze, by odpowiednio nawilżać i oczyszczają powietrze.

Cynth nigdy nie widział gwiazd. Nawet nie przypuszczał, że ponad nieprzepuszczalną warstwą skażonych pyłów, dymów i ołowianych chmur znajduje się coś tak pięknego. Zapatrzony w sztuczne niebo, wpadł na barierkę otaczającą spowity ciemnością teren. Na jego skraju znajdował się zadziwiająco biały obiekt: ze stabilnej, wpuszczonej w ziemię długiej tyczki wyrastało kilka mniejszych, finezyjnie skrzyconych. Do ogrodzenia przymocowano też ekran dotykowy z obrazem przedstawiającym żywe odpowiedniki uwiecznionych w syntetycznym materiale drzew.

Elf rozejrzał się, po czym przeskoczył przez barierkę. Ziemia pod stopami była lekko wilgotna i miękka, tak inna od gładkich i sztywnych płyt chodnikowych. Cynth obszedł drzewo dookoła i dotknął powierzchni białego pnia. Cofnął dłoń, gdy złuszczone resztki kory lekko osiadły na smolistym gruncie.

Wszystkie drzewa, które miał przed sobą, były tylko martwymi kawałkami drewna.

Mężczyzna zwany Kobaltem chwycił Cyntha za włosy i boleśnie wykręcił rękę na plecach, zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach aresztowanego.

– Proszę, proszę! – Przyglądał się pochwyconemu z uwagą. – Mutant.

– Elf? – Zdumiony Jasieniec podszedł do Cyntha.

Wychowujący się w średnio zamożnej rodzinie podporucznik nigdy nie widział mutantów. Dużo o nich czytał, a jego ciekawość wzrosła, odkąd dwa lata temu odnaleziono nielegalny masowy grób tych istot w pobliżu ulicy Jastrzębiej na obrzeżach miasta.

– Nie istnieje coś takiego jak elf – sprostował Bystrzycki, szarpnięciem stawiając aresztowanego na nogi. – Komu uciekłeś?

Na dźwięk słowa „mutant” Cynth automatycznie zacisnął zęby, toteż porucznik nie doczekał się odpowiedzi. Spoważniał, a jego oczy załśniły złowieszczym błękitem. Popchnął elfa w stronę nieoznakowanego radiowozu.

– I tak się dowiem – warknął, przeglądając policyjne i wojskowe bazy danych oraz miejskie systemy identyfikujące obywateli i ich własność. – Twój identyfikator powie nam...

– Kobalt, co jest? – Jasieniec zdziwił się na widok zmarszczonych brwi Bystrzyckiego. Porucznik przerwał przeglądanie dokumentacji i z niepokojem przyglądał się swoim dłoniom. Raptem bez uprzedzenia przygwoździł Cyntha do maski samochodu, po czym skierował snop światła kieszonkowego reflektora na ręce elfa.

– Co o tym sądzisz? – Spytał Jasieńca, który nie czekając na zbędne polecenia, umieścił odrobinę zaschniętej substancji z rękawów szarej bluzy na czytniku swojego komputera.

Prokurator Drożdżowski rozmasował zeszywniały kark i opadł na oparcie fotela. Nie musiał zerkać na wyświetlacz osobistego zegarka bionicznego, by wiedzieć, że powinien spać przynajmniej od dwóch godzin. Zignorował ciche alarmy urzędnika i ponownie przeanalizował symulację nowego rozporządzenia burmistrza. Drożdżowski, jako niezależny ekspert, miał zapoznać się z jego treścią i z punktu widzenia aparatu wymiaru sprawiedliwości ocenić jej wartość prawną. Dokument zostanie odczytany na sesji Rady Miejskiej w najbliższą środę, a zawarte w nim poprawki nowych przepisów prawnych wejdą w życie najpóźniej w przyszłym miesiącu.

Cicha melodyjka interkomu zmała spokój myśli prokuratora i zmusiła do przerywania szczegółowej analizy ostatnich akapitów. Drożdżowski z rezygnacją wcisnął klawisz rozmowy i po chwili na środku gabinetu zmaterializował się holograficzny odpowiednik przewodniczącej Rady Adwokackiej.

– Dobry wieczór. – Mecenas Anna Koroliewa lekko skinęła głową na powitanie. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Drożdżowski uśmiechnął się drwiąco i chciał rzucić uwagę o pogodzie, lecz nie dano mu dojść do słowa.

– Zamordowano Zatorskiego – oznajmiła, od razu przechodząc do sedna sprawy. – Profesor Ostrowski jest już w drodze.

– Moment, moment. – Prokurator zmarszczył brwi i pochylił się nad biurkiem. – To brzmi jak reaktywacja Komisji Etyki.

– Za godzinę spotykamy się w sali konferencyjnej numer trzy.

Holograficzny obraz Koroliewej poprawił okulary i zniknął.

– To tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia.

Drożdżowski niechętnie wyłączył komputer i włożył marynarkę.

Komisja Etyki. Prokurator był przekonany, że ten etap kariery ma już za sobą – cztery lata temu pozytywnie rozpatrzono ostatni złożony wniosek. Bioniczny zegarek oznajmił przekroczenie krytycznej granicy braku snu. Prokurator prychnął, wyrzucając urządzenie do kosza na śmieci.

Radiowóz bezszelestnie przemknął powietrzną estakadą nad zatłoczonym centrum zabawy i zatrzymał się przed trzypiętrowym jasnym budynkiem ze szkła i stali na ulicy Łużyckiej. Jaskrawe światło zalewało idealnie owalny podjazd, oślepiając i dezorientując przywożonych tu przestępców.

Cynth niepewnie przekroczył próg miejskiego więzienia. W porównaniu z ciasnym wnętrzem samochodu, przestronny hol wzbudził w nim nieprzyjemne uczucie niepewności i strachu. Dwaj umundurowani strażnicy wprowadzali go do małego pokoiku, gdzie miał zostać poddany żmudnemu procesowi identyfikacji, gdy zamontowane w korytarzu czujniki promieniowania zawyły ostrzegawczo.

„Wykryto podwyższony poziom radioaktywności. Powtarzam, wykryto podwyższony poziom radioaktywności. Zalecana całkowita izolacja”.

Zdezorientowani strażnicy spojrzeli na siebie, po czym zastosowali się do polecenia automatycznego systemu bezpieczeństwa. Elf nie stawiał oporu. Magnetyczne kajdanki spełniały swoje zadanie – w przypadku gwałtownych reakcji misternie skonstruowane obręcze samoistnie zaciskały się na nadgarstkach aresztantów.

Z przeszklonego korytarza do holu szedł wysoki mężczyzna w białym fartuchu. Gęste, siwe włosy i łagodny uśmiech nie pasowały do więziennej scenerii.

– Czyżby awaria? – Spytał strażników i pomachał identyfikatorem przed systemem włączającym alarm. – To już trzeci raz w tym tygodniu.

– Co mamy z nim zrobić, doktorze?

– Zaprowadźcie go do mojego gabinetu. – Lekarz machnął ręką i kazał strażnikom iść za sobą. Po kilku minutach zatrzymali się przed białymi drzwiami, które rozsunęły się, gdy tylko do nich podeszli.

Więzienny oddział szpitalny prezentował się równie odpychająco, co sam budynek: wysterylizowany, jasny i sztuczny. Za przeszklonymi drzwiczkami szafek w idealnym porządku ustawiono dyski kart medycznych każdego więźnia. Nad projektorem długiego stołu konferencyjnego pochylał się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o niesamowicie jasnych oczach, które utkwiał w swoim przełożonym.

– Doktorze Halicki? – spytał, wyłączając trójwymiarowy model czyjeś szkieletu.

– Panie Marcinie, proszę przygotować sprzęt identyfikujący.

Asystent lekarza bez słowa zerknął na Cyntha i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Strażnicy zaszalutowali i wrócili do swoich obowiązków.

– Wybaczy pan to całe zamieszanie, ale procedury to procedury – Halicki uśmiechnął się, gestem zapraszając elfa do właściwego gabinetu. Białą kozetkę zastąpiono fotelem z elektronicznym mechanizmem unieruchamiającym, na półkach ciągnących się wzdłuż ścian spoczywały środki farmakologiczne i opatrunkowe, narzędzia chirurgiczne oraz podstawowe przyrządy pomiarowe.

Cynth posłusznie usiadł. Magnetyczne obręcze na nadgarstkach natychmiast przywarły do podłokietników fotela. Zaskoczony, mocował się z kajdankami, ale po dwóch nieudanych próbach odzyskania namiastki swobody ruchu dał za wygraną. Nie przeszkodziło mu to jednak w uważnej obserwacji każdego kroku lekarza i jego asystenta.

– Panie Borecki, skanowanie, proszę.

Stojący przy panelach sterowania asystent uruchomił odpowiedni program i na środku pomieszczenia pojawił się trójwymiarowy odpowiednik Cyntha. W miarę obracania się modelu wokół własnej osi komputer wyświetlał ogólne informacje anatomiczne oraz, w związku z brakiem danych identyfikacyjnych w miejskich bazach danych, prawdopodobną historię medyczną organizmu.

– Co my tu mamy. – Halicki pobieżnie przełączył kartę komputerową aresztowanego. – Morderstwo. Naruszenie strefy zamkniętej. Oj, niedobrze. – Pokiwał głową, wczytując się w tekst policyjnego raportu. Mimo zawartych w nim drastycznych zdjęć, uwagę lekarza przykuły fotografie mordercy. W nagłym olśnieniu znieacka spojrzął na Cyntha. Kocie oczy lekarza bez trudu wychwyciły charakterystyczne dla mutantów niuanse ich fizjonomii. Zaśmiał się bezgłośnie.

Anna Koroliewa wygładziła poły grafitowej marynarki i odruchowo poprawiła okulary. Echo jej szybkich kroków odbijało się od ścian pustych korytarzy, gdy kierowała się do sali konferencyjnej numer trzy. Dotarcie tutaj zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. Zwyczajnie zapomniała o rozpoczynających się Dniach Miasta, ale przezornie zostawiła sobie pół godziny zapasu na wypadek niespodziewanych okoliczności, a dzisiaj nie mogła sobie pozwolić na spóźnienie. Sprawa była zbyt nagła i ważna.

– Jak zwykle punktualna – zauważył Drożdżowski, przecierając zmęczone oczy, gdy masywne drzwi sali konferencyjnej numer trzy z głuchym trzaskiem zamknęły się za Koroliewą.

– Piotrze, wszyscy woleliby być w domach. – Profesor Ostrowski stał przy oknie i wpatrywał się w ciemność nocy. Mimo późnej pory wyglądał na wypoczętego. – Miło cię znowu zobaczyć, Aniu – uśmiechnął się ciepło, wyrywając się z objęć niepokojących myśli.

– Możemy zaczynać? – Drożdżowski zabębnił kłykciami w blat stołu. Atmosfera sali konferencyjnej przywoływała wspomnienia sprzed lat. Nieprzyjemne wspomnienia sprzed lat. – Chciałbym w końcu dowiedzieć się, o co chodzi.

– W swoim czasie – odparła Koroliewa, a prokurator westchnął, teatralnie kręcąc głową.

– Tak jak poprzednio? – spytał, a głos mu stwardniał.

Orłowski i Koroliewa wymienili porozumiewawcze spojrzenia, co nie umknęło uwadze Drożdżowskiego.

– Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że utrzymywanie mnie w błogiej nieświadomości wciąż sprawia wam obojgu wielką radość – zadrwił, uśmiechając się ponuro.

Kobieta poprawiła okulary.

– Prędzej czy później doszłoby do samowoli, więc regulacja przepisów była konieczna i doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. – Skrzyżowała ręce na piersi, by ukryć trzęsące się dłonie.

Wszyscy troje pomyśleli o tym samym.

Rok po powołaniu Komisji Etyki Drożdżowski zauważył, że liczba składanych wniosków o sfinansowanie przeszczepów rosła w zastraszającym tempie, a zasoby Banku Organów nie miały dna. Mieszczącą się w granicach prawdopodobieństwa zbiorową wspaniałomyślność w oddawaniu nerek jeszcze zaakceptował, ale zmasowane transplantacje serca – co najmniej jedna tygodniowo – wzbudziły jego niepokój i potrzebę zadawania pytań. Po otrzymaniu odpowiedzi żałował, że nie siedział cicho.

– W świetle prawa wszystko jest moralnie słuszne – stwierdził sucho Drożdżowski.

Koroliewa chciała odpowiedzieć, ale pojawienie się funkcjonariuszy Bystrzyckiego i Jasieńca odwróciło jej uwagę od przeszłości i każało się skupić na bieżących problemach.

– Naruszenie zamkniętej strefy ochronnej. Morderstwo Zatorskiego. – Kobieta bez zbędnych wstępów przeszła do meritum sprawy. – Co z identyfikacją sprawcy?

Drożdżowski spojrzał na Ostrowskiego i Koroliewą.

– To elf, prawda? – spytał, uprzedzając odpowiedź.

– Tak, sprawca jest elfem – odpowiedział Jasieniec, przekazując prokuratorowi odpowiednią kartę komputerową. – Identyfikacja może potrwać. Baza danych nie była używana od kilku lat.

– Ciekawe, dlaczego – Drożdżowski uśmiechnął się kwaśno, przekazując dysk niezucłej na prowokację Koroliewej.

– Zatrzymano go na terenie objętym całkowitą ochroną, a połączenie go z miejscem zbrodni nie stanowiło problemu. Krew na bluzie podejrzanego należała do ofiary – kontynuował Jasieniec. – Nie znamy motywu.

– Postawienie go w stan oskarżenia na podstawie posiadanych dowodów to tylko formalność – stwierdził prokurator, czekając na poznanie rzeczywistego powodu tego spotkania. W skład komisji śledczych powoływanych w celu zbadania okoliczności morderstw ważnych osób wchodził specjalista z dziedziny medycyny sądowej, nie, jak w przypadku profesora Orłowskiego, genetyki.

– Jacyś świadkowie? – Koroliewa zignorowała zapewnienie Drożdżowskiego.

– Z całym szacunkiem – wtrącił Bystrzycki, rejestrując napięcie między prokuratorem a panią adwokat. – W obecnej chwili nikt nie zwróciłby uwagi na latający spodek.

– Dni Zielonej Góry – westchnął profesor Orłowski. – Okoliczności uniemożliwiają identyfikację.

Koroliewa nie dawała za wygraną.

– Może spróbować z innej strony. Biura zaginionych?

– Sprawdziliśmy. Żadnych zgłoszeń o zaginięciu rudowłosego mutantu. – Podporucznik Jasieniec wzruszył ramionami. – Jakiegokolwiek mutantu.

Profesor Orłowski gwałtownie wyprostował się na krześle.

– Rudowłosego? – spytał funkcjonariuszy.

– Tak – potwierdził Bystrzycki.

Profesor zabrał Koroliewej kartę komputerową z raportem sprawy i szybko przestudiował zdjęcia podejrzanego. Nikt nie wiedział, dlaczego kolor włosów w takim stopniu zainteresował Orłowskiego.

– Co w tym takiego dziwnego? – Drożdżowski odważył się przezwyciężyć pełną napięcia ciszę.

– Mutanci nie mogą mieć rudych włosów. Ich organizmy nie syntetyzują i nie przyswajają czerwonego barwnika – powiedział wolno profesor. – Przynajmniej nie w panujących w mieście warunkach atmosferycznych.

– Co to oznacza?

– Nietrudno domyślić się odpowiedzi. – Orłowski nie odrywał wzroku od trójwymiarowej podobizny rudego mutantu. – Aniu, Piotrze, panowie – zwrócił się do obecnych na sali – on nie pochodzi stąd.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy ze swojej... medycznej wartości.
– Kocie oczy Halickiego zalśniły złowieszczo, gdy mężczyzna podszedł do elfa i odgarnął rude włosy, odsłaniając subtelny zarys szpiczastego ucha. – Widziałem tysiące twoich braci i sióstr, ale ty jesteś wyjątkowy. Ostatni.

Cynth znieruchomiał. Spojrzał w zielone oczy lekarza, szukając potwierdzenia jego ostatnich słów. Podszycie chytryością przyjazne wygięcie ust zwiastowało okrutną prawdę: był jedynym elfem w Zielonej Górze.

– Zastanawiasz się pewnie, jakim cudem licząca kilka tysięcy osobników populacja mutantów w przeciągu kilkunastu lat przestała istnieć?

Elf odwrócił głowę. Nie chciał, by lekarz upajał się emocjami malującymi się na jego twarzy. Usłyszał już wystarczająco dużo.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Halicki złapał Cyntha za włosy, uniemożliwiając mu odwrócenie głowy, pochylił się nad nim i, uśmiechając się przy tym paskudnie, wyznał cicho: – W naszym świecie życie takich jak ty jest nic niewarte. Prawdziwym powodem konsekwentnego sprowadzania was tutaj i hodowania była wasza śmierć.

Przez ciche buczenie światełek przebiło się echo nocnej zabawy.

Spojrzenie Cyntha raptownie stwardniało. Elf wykorzystał pozostawioną mu swobodę ruchów oraz bliskość lekarza i kopnął go z całej siły w biodro. Pod wpływem niespodziewanego ciosu Halicki jęknął i runął na posadzkę, przeklinając głupotę strażników.

– To, że jesteś ostatnim, nie uchroni cię przed podzieleniem losu twoich pobratymców – wycharezał mężczyzna, przyciskając dłonie do obitej kości. Zrzucił maskę przyjaciela więźniów i wpatrywał się w Cyntha z jawną nienawiścią. – Skończysz jako kolejny darmowy dawca części zamiennych.

Elf znieruchomiał. Cisnący się na usta krzyk sprzeciwu uwiązał mu w gardle.

– Borecki!

Asystent wciąż stał przy panelach sterowania, gotów zareagować na najłżejszy przejaw nieposłuszeństwa ze strony więźniów. Nagły ruch elfa całkowicie go zaskoczył.

– Doktorze? – Otrząsnął się z chwilowego otępienia.

– Sterylizacja, już. – Lekarz oddychał z trudem. Dokuśtykał do ściany i zanim wyszedł do swojego gabinetu, zaaplikował sobie podwójną dawkę środka przeciwbólowego. – Bądź łaskaw się pospieszyć. Niedługo się zorientują.

Obecność asystenta zaskoczyła Cyntha. Jasne, niemal przezroczyście oczy mężczyzny wywoływały niewytłumaczalny lęk, działały paraliżująco. Elf chciał odruchowo cofnąć się i uciec przed niewzruszonym spojrzeniem byłego żołnierza, ale ból zaciskających się na nadgarstkach obręczy przywrócił go do rzeczywistości.

Dociskając tłok małej strzykawki, Borecki wyregulował poziom standartowego środka znieczulającego. Podszedł do sparaliżowanego strachem mutanta i bez ostrzeżenia wbił długą igłę w jego tętnicę szyjną. Służba wojskowa nauczyła go dyscypliny i chłodnego opanowania w sytuacjach kryzysowych, dlatego nigdy nie wahał się działać. Jednak Halicki uczynił go swoim asystentem z innego powodu. Bolesnego powodu, o którym Boreckiemu przypominała wąska blizna na piersi.

Cynth przestał protestować. Do oczu napłynęły mu łzy. Ostatnie, co zapamiętał, to okropny ból rozsadzający czaszkę i metaliczny zapach własnej krwi.

– Kobalt, jak myślisz, czy współwięźniowie zdążyli przerobić go na miazgę?

– Mam nadzieję, że nie zdążyli.

Pokazawszy strażnikom legitymacje i odznaki, Bystrzycki i Jasieniec przeszli przez hol, kierując się bezpośrednio do centrum komputerowego miejskiego więzienia. Uprzedzony o ich przybyciu dowódca zmiany miał przygotować niezbędne do zwolnienia dokumenty i czekać na nich w niewielkiej sali przesłuchań, ale gdy wyszedł im naprzeciw, wyczuli, że coś jest nie tak.

– Witam panów. – Strażnik o gabarytach wyrośniętego niedźwiedzia zasalutował niedbale. – Kapitan Sworża, dowódca zmiany.

– Porucznik Bystrzycki i podporucznik Jasieniec, mój partner. – Mężczyźni wymienili uściski dłoni. – Jakież problemy z więźniem?

– Żadnych. – Sworża nie bawił się w uprzejmości, tylko od razu przeszedł do sedna sprawy. – Jak z każdym, kogo tu nie ma.

Policjanci wymienili zdziwione spojrzenia.

– Nasi ludzie odeskortowali go pod same drzwi więzienia dwie godziny temu – powiedział Jasieniec, nie mogąc pojąć zaistniałej sytuacji. – Uciekł?

– Nie w tym rzecz – zaproponował dowódca zmiany. – Przed przekroczeniem progu swojej celi każdy więzień poddawany jest rewizji osobistej i jako nowy numer trafia do wewnętrznej bazy danych. Waszego zabójcy nie ma na liście osadzonych.

– Z jakiegoś powodu jego dane nie trafiły do tutejszego systemu – zauważył Bystrzycki, rozglądając się po holu.

Jasieniec pomyślał o tym samym.

– Czujniki nie wychwyciły podwyższonego poziomu promieniotwórczości? – spytał, wskazując na zamontowane w korytarzach aparaty Geigera siódmej generacji.

– Ostatnio mieliśmy kilka awarii – odrzekł Sworża po krótkiej chwili namysłu. – Do czego pan zmierza?

– Chodzi nam o specjalne procedury w przypadku alarmu – wyjaśnił Bystrzycki.

– Nikt napromieniowany nie ma wstępu do części więziennej. Porozmawiajcie z doktorem Halickim. On odpowiada za bezpieczeństwo... medyczne obiektu. – Sworża wskazał policjantom właściwy korytarz. – Prosto i w lewo.

– Dziękujemy.

Gdy dowódca zmiany zniknął w jednym z wąskich korytarzy, Jasieniec wydobyl z kieszeni kieszonkowy wykrywacz promieniotworzenia.

– O ile wiem, aparat Geigera nie należy do standardowego wyposażenia policjanta – zdziwił się Bystrzycki, obserwując badającego teren kolegę.

Jasieniec tylko wzruszył ramionami.

– Najwidoczniej dla ciebie zabrakło.

Funkcjonariusze ruszyli we wskazanym przez Sworzę kierunku. W miarę zbliżania się do skrzydła medycznego, nerwowo wsłuchiwali się w echo własnych kroków, starając się wychwycić ciche trzaski aparatu. Jeśli hipoteza profesora Orłowskiego jest prawdziwa, urządzenie zacznie szaleć.

Bez trudu odnaleźli właściwe drzwi. Gotowy do natychmiastowego sięgnięcia po broń Bystrzycki przekroczył próg siedziby więziennego lekarza.

– Doktorze Halicki?

Siedzący tyłem do drzwi mężczyzna drgnął gwałtownie, omal nie spadając z krzesła.

– Na przyszłość proszę się tak nie skradać. Z kim mam przyjemność?

– Porucznik Bystrzycki i podporucznik Jasieniec – przedstawił siebie i kolegę Bystrzycki. – Szukamy zabójcy urzędnika miejskiego. Kapitan Sworża odesłał nas tutaj. Możemy się rozejrzeć?

– Oczywiście. – Halicki z krzywym uśmiechem podszedł do spodziewanych gości. Zjawili się nieco wcześniej, niż się spodziewał, ale Borecki powinien uwinąć się ze sterylizacją jakąś godzinę temu.
– Służę wszelką możliwą pomocą.

– Co pan wie o awariach systemu czujników promieniowania?
– Spytał Bystrzycki, podczas gdy Jasieniec rozglądał się po gabinecie i sąsiednich pomieszczeniach. Porucznik zauważył, że lekarz lekko kuleje i wprawnie ukrywa grymasy bólu pod maską zatroskania.

– Co najmniej raz w miesiącu wykrywają drobne odchylenia od normy, ale, proszę mi wierzyć, wszelkie nieprawidłowości traktujemy bardzo poważnie – zapewnił. – Jeśli takowe następują, wykrywamy źródło niebezpiecznego promieniowania i staramy się natychmiast zminimalizować ryzyko choroby popromiennej.

Bystrzycki kiwnął głową.

– Trzy godziny temu przyprowadzono tu rudowłosego więźnia – powiedział, obserwując reakcje lekarza.

– Kobalt, chciałbym, żebyś coś zobaczył.

Wytłumiony głos Jasieńca dochodził z sąsiedniego pomieszczenia. Bystrzycki zatrzymał się w progu gabinetu zabiegowego, po czym automatycznie sięgnął po broń i wymierzył w zaskoczonego Halickiego.

– Czekam na odpowiedź.

– Ja... ja... – Autentycznie wystraszony mężczyzna podniósł ręce. Nie był w stanie skonstruować nawet prostego logicznego zdania.

– Proszę o wyjaśnienia – zażądał porucznik, gestem nakazując lekarzowi podejść do drzwi.

Oczom Halickiego ukazał się makabryczny widok. Oparcie fotela ociekało krwią. Niewielkie plamy zakrzepłej czerwonej cieczy wykwitły na podłodze po obu stronach podłokietników. Rude włosy zaścierały białe kafelki i przykleiły się do rzuconych na stolik nożyczek. Aparat Geigera trzeszczał cicho, a Jasieniec pobierał próbkę krwi, by porównać ją z posiadanym materiałem biologicznym poszukiwanego elfa.

– Co tu się stało? – spytał ostro Bystrzycki.

– Ja... nie wiem – wykrztusił Halicki, zakrywając usta dłońmi.

– Powtarzam, co zaszło w tym gabinecie?

– Pracuje tu ktoś jeszcze? – wtrącił się Jasieniec.

Lekarz nerwowo pokiwał głową, utkwivszy wzrok w wycelowanej w siebie broni.

– Borecki... Marcin Borecki. Mój asystent – wyjaśnił. – On... On zajmował się skażeniami i radioaktywnością.

– Wezwij wsparcie, ja powiadomię prokuratora – polecił Bystrzycki podporucznikowi, po czym przetarł zmęczone oczy, pozwalając lekarzowi usiąść na podłodze. – Musimy znaleźć Boreckiego.

Profesor Orłowski od dwóch godzin fascynował się swoim odkryciem. Mimo bardzo wczesnej pory, dochodziła bowiem trzecia, nie mógł usiedzieć w miejscu i krążył wokół stołu, głośno wyrażając swój zachwyty.

– To naprawdę zaskakujące i przełomowe odkrycie! – niemal krzyczał. – Ach, gdybym tylko dostał kilka próbek, ba! Wystarczyłby jeden włos!

– Ci dwaj policjanci znaleźli ich na pęczki – zauważył ponuro Drożdżowski, niezadowolony z konieczności pozostania na miejscu „na wszelki wypadek”, który niestety miał miejsce. – Będzie pan mógł eksperymentować do woli.

– Piotrze, skąd taka smutna mina? – Orłowski klepnął prokuratora w plecy, po czym kontynuował zachwywanie się miedzianym kolorem włosów mutanta. – Badam elfy tyle lat i wydaje się, że wiem już wszystko, a tu proszę! Co za niespodzianka!

– Jeszcze jedną kawę?

Anna Koroliewa dopiła resztki swojej i wyrzuciła papierowy kubek do kosza na śmieci. Czekanie na informacje zaczynało ją nużyć.

– Poproszę. – Drożdżowski zasypiał na siedząco. Przyzwyczajony do regularnego nocnego odpoczynku organizm protestował i domagał się snu. Oczyma wyobraźni mężczyzna widział wyjący zegarek bioniczny.

– Mam pytanie – oznajmił po otrzymaniu kubka parującej kawy. – Czy tylko mnie obchodzi, co się stało z tym elfem?

– Wszystkich nas obchodzi – odpowiedziała Koroliewa tonem ucinającym temat. – Obecnie to sprawa priorytetowa.

– Ach, tak. – Prokurator stłumił ziewnięcie i upił łyk kawy. Smakowała jak fusy od herbaty.

– Powiedział coś konkretnego? – spytała, po raz setny przeglądając życiorys Marcina Boreckiego. Wzorowy absolwent szkoły oficerskiej w wyniku nieszczęśliwego wypadku stracił serce i gdyby nie szybki przeszczep, nie dożyłby trzydziestu lat. Po zakończeniu służby ochraniał konwoje ze sprzętem komputerowym, by po siedmiu latach rozpocząć pracę jako asystent lekarza więziennego. Mieszkał

sam w małym domku na obrzeżach miasta, nie miał rodziny, cała wiedza o jego życiu ograniczała się do dokumentacji medycznej i wojskowej kartoteki.

– Wciąż go przesłuchują – odparł Drożdżowski, analizując wydarzenia ostatnich kilku godzin.

Borecki mrużył oczy. Osłepiające światło reflektora nie pozwalało mu się skupić. Głuche dudnienie w czaszce przypominało o bolesnym sposobie pozbawienia go przytomności. Ostatni raz dał się tak podejść jeszcze w szkole oficerskiej.

– Gdzie ukryłeś ciało? – w opanowanym głosie Bystrzyckiego wyczuwało się nutę wzrastającego poirytowania. Porucznik położył na stole ekran komputera. Pojawiające się na nim zdjęcia rudowłosego elfa i uwalanego krwią gabinetu lekarskiego powinny wywołać u podejrzanego zamierzoną reakcję.

– Przyznaję, to moja robota – powiedział w końcu. – Ale zrobiłem to na wyraźne polecenie doktora Halickiego.

Porucznik głośno wypuścił powietrze.

– Zdajesz sobie sprawę z wartości tego mutanta? – Bystrzycki groźnie zmarszczył brwi. – Gdzie ukryłeś ciało?

Borecki wzruszył ramionami.

– Nikogo nie zabiłem.

– Utrudniasz nam pracę – uprzedził policjant tonem ostrzeżenia.

– Wiem tyle, co wy. Czemu miałbym kłamać?

– Masz świadomość, że najniższy wymiar kary za morderstwo to tylko piętnaście lat w więzieniu o zaostrowym rygorze? – spytał Bystrzycki, przygwożdżając podejrzanego do krzesła za pomocą ostrego spojrzenia niebieskich oczu. – Nie martwisz się, jak, i to tylko w najlepszym wypadku, będziesz wyglądał za piętnaście lat?

Borecki spuścił głowę i uśmiechnął się ponuro. Zerknął na swoją koszulkę. Wąska blizna na piersi jeszcze nigdy tak nie bolała.

– Bardziej martwi mnie sposób, dzięki któremu jeszcze żyję – powiedział cicho.

Rozstrojony zegarek bioniczny Drożdżowskiego wylądował na dnie tekturowego pudła, w którym prokurator układał swoje rzeczy osobiste. Nie miał tego wiele. Burmistrz przyjął jego rezygnację, nie wnikać w przyczyny jej złożenia. Drożdżowski był mu za to niezmiernie wdzięczny – nie miał zamiaru wysłuchiwać zasadności swojego postę-

powania i usilnych próśb ponownego rozważenia raz podjętej decyzji. Pożegnał się z zajmowanym przez dziewięć lat stanowiskiem w atmosferze życzliwości i zrozumienia.

Krótką notatką w prasie dodatkowo utwierdziła go w przekonaniu, że postępuje w zgodzie z własnym sumieniem.

Asystent lekarza zakładu karnego przy ulicy Łużyckiej Marcin B. nie żyje. Aresztowany zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach – ciało odnaleziono podczas porannego obchodu. Policja podejrzewa samobójstwo.

Cynth ściągnął z głowy skradzioną konwojentowi chustę w czarno białą kratę. Szorstki materiał drażnił zablizniające się uszy, końcówek których tak brutalnie go pozbawiono. Przeczesał krótko obcięte włosy. Ich kolor był skutkiem ubocznym życia w skażonym środowisku – w nich odkładały się szkodliwe związki radioaktywne. Dzięki tej cesze elfom udało się przetrwać, gdy wzrastający poziom promieniowania zmusił ludzi do zamknięcia się w hermetycznych klatkach.

Od pozbycia się kajdanek, ogłuszenia pracownika więzienia i ucieczki z Zielonej Góry minął miesiąc, a on wciąż nie mógł się przyzwyczaić do nowej fryzury.